ROZMAITOŚCI.

Dnia 20. Lutego. № 8. Roku 1856.

RIK — TIK — TAK.

(Powieść z życia flamandzkiego.)

(Dokończenie. Ob. Nr. 1. 2. 3. 4. 5. 6. 7. Rozmaitości.)

Monika była mocno wzruszona; z twarzy jéj widać to było jak najwyraźniéj. Przez chwilę niemogła zdobyć się na odpowiedź i spoglądała na ojca jakimś dziwnie smutnym wzrokiem; wreszcie zebrała wszystkie siły i rzekła:

— „To prawda, mój ojcze; byłam niewdzięczna względem Adolfa i względem ciebie, i serce moje boleje nad tém mocno; ale jakżeż wiele żądacie ode mnie! Pomyśl tylko, mój ojcze, że to znaczy żądać po mnie ofiary wszystkich moich wspomnień; bo jeźlibym przystała na to, by zostać żoną Adolfa, musiałabym poświęcić mu całe moje serce. Ja niebyłabym niewdzięczną, i szlachetne poświęcenie jego nagradzałabym tkliwém przywiązaniem, jeźli nie gorącą miłością; lecz odtąd musiałabym wyrzec się wszystkiego, co mi pozostało z przeszłości.“

Twarz kapitana zajaśniała wyrazem radości, pochwycił córkę za rękę i rzekł:

— „Droga Moniko, ofiara twych marzeń jest koniecznie potrzebna, jeźli chcesz żyć jeszcze. Oddaj twą rękę Adolfowi, uczyń mię szczęśliwym, moje drogie dziécię; patrz, oto błagam cię ze złożonemi rękoma, powiedz, że się zgadzasz.“

Córka drzała widocznie, ale usta milczały.

— „Moje dziécię! moje dziécię! — wołał kapitan, — chciéj korzystać z natchnienia twéj szlachetności i powiedz: Tak! o, powiedz, powiedz!“

Monika podniosła zwolna głowę i rzekła głosem stanowczym:

— „Dobrze, mój ojcze; kiedy to może uczynić cię szczęśliwym.....“

Nagle owładło ją jakieś niespodziane wzruszenie, wzniosła palec do góry i nadstawiła ucha przysłuchując się jakimś słodkim dźwiękom.

— „Co to jest?!“ — zawołał zdumiony kapitan.

— „Słuchaj, słuchaj!“ — odrzekła Monika z anielskim uśmiechem.

Jakiś głos odzywający się ze dworu ku oknom przedzierał się do salonu, i kapitan słyszał wyraźnie:

Rik — tik — tak,
Rik — tik — tu!
Daléj do młota,
Kujmy co tchu!
Niech stal czerwona
Iskrami miota,
Kto ją pokona,
Ten godzien snu!
Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!

Kapitan wiedział, jak nadzwyczajny wpływ wywiérała ta piosnka na jego córkę, co więcéj zaś uważał ją niejako za obelgę wyrzucającą mu jego nizkie pochodzenie. Uniesiony przeto gniewem, szarpnął za dzwonek i tupnąwszy gwałtownie nogą krzyknął:

— „Zobaczymy, kto tu śmie tak się naigrawać ze mnie!“

Służący wbiegł po rozkazy pana.

— „Jest tam jakiś zuchwalec na dworze — rzekł kapitan gniewnym głosem — co się ośmiela śpiewać pod oknyma. Wziąć kilku ludzi i schwytać go; chcę mu się przypatrzyć. Jeźliby się opiérał, użyć przemocy.“

— „Mój ojcze!“ — zawołała Monika zrywając się przestraszona. — „Co mówisz? Przemocy! a czy wiesz przeciw komu?“

— „Dowiemy się o tém?“ — odrzekł kapitan rozdrażniony.

Monika powróciła do stołu i usiadła drżąc cała z obawy.

Słychać było skrzypnięcie otwieranych drzwi, które niebawem na powrót zamknięto. Wnet potém wszedł służący do salonu i rzekł do swego pana:

— „Panie kapitanie, to jakiś ubogi żebrak, tak wynędzniały i słaby, że zaledwie trzyma się na nogach. Nędzarz ten niemógł się nawet opierać. Jest tutaj w sieni; czy wypuścić go?“

— „O nie, nie!“ — zawołał kapitan; — „muszę rozwiązać tę zagadkę.... Moniko, czemuż ty drzysz tak? Czy znasz tego żebraka? Daléj, przyprowadzić go!“

Zaledwie biedny młodzian, pochylony i spuszczonemi oczyma pojawił się we drzwiach salonu, wydała Monika krzyk rozdzierający, pobiegła ku niemu, pochwyciła jego rękę i zawołała:

— „Janie, to ty jesteś?“

— „To ja, pani;“ — odrzekł niepodnosząc oczu.

Kapitan stał przez kilka chwil oniemiały i przecierał czoło, jak gdyby nagle jakaś dręcząca myśl powstawała w jego duszy. Wnet jednak odżegnał to podejźrzenie i ująwszy młodzieńca za rękę przyciągnął go zlekka do krzesła, i zmusił go usiąść. Monika niepuszczała ręki Jana i stała także niema i w głuchéj obawie. Po chwili usiadł kapitan, i rzekł do młodzieńca:

— „Janie Daelmans, dlaczegoż niewspomniałeś sobie na mnie w twojém nieszczęściu? Czyż niepowiedziałem ci przed odjazdem z Moll, że będę twym opiekunem, jeźlibyś kiedy potrzebował tego? Widzę, do jakiego stopnia doszła twoja nędza; ale od dzisiaj niebędziesz cierpiał niedostatku, mój przyjacielu. Nabierz serca; ja niechcę być niewdzięcznym i rozpocznę natychmiast mój rachunek z tobą.“

To mówiąc otworzył kapitan szufladę biórka, wyjął z niéj rulon dukatów, i kładąc go na stole przed młodzieńcem rzekł:

— „Weź to, mój przyjacielu; nie jest-to jałmużna, lecz tylko mała nagroda za to, coś uczynił niegdyś dla mojéj córki. Proszę cię, przyjm to ode mnie jak od przyjaciela i opiekuna.“

Jan powiódł okiem ze stołu na kapitana, westchnął głęboko i rzekł z otrętem:

— „Złoto! zawsze złoto!“

Potém spoglądając na nędzny swój ubior, dodał:

— „Prawda, złoto przydałoby mi się. Mógłbym sprawić inne suknie i wynagrodzić téj, co miała staranie o mnie; ale, o panie, błagam cię, oszczędź mi tego upokorzenia. Z twojéj ręki niemogę przyjąć pieniędzy, nawet gdybym mógł niemi odkupić się śmierci!“

Wymawiając te słowa zrobił Jan poruszenie i usunął dłoń swoją z rąk Moniki. Dziewica głęboko wzruszona odeszła i w głębi pokoju usiadła w milczeniu, prawie bez ruchu.

— „Janie, mój przyjacielu,“ — odrzekł kapitan; — „krzywdzisz mię i siebie. Jeźli niechcesz pieniędzy, powiedz co mogę uczynić dla ciebie. Będzie to szczęście dla mnie, jeźli zdołam wyświadczyć ci jakąkolwiek przysługę.“

— „Pan chcesz mi wyświadczyć przysługę?“ — odrzekł młodzieniec; — „dobrze! proszę pana o jedną łaskę; czy odmówisz jéj?“

— „Mów, Janie, uczynię zadość twemu życzeniu. Czegoż pragniesz?“

Młodzian wyprostował się z trudnością w krześle i zdawał się gotować do ciężkiéj spowiedzi.

— „Kapitanie van Milgem“ — rzekł — „od jutra zaczyna się dla mnie nowe życie, chcę wznieść między mą przeszłością mur nieprzebyty. Niełatwo to oderwać się od wspomnień, które przyrosły do serca i stały się cząstką naszego życia. I może w téj walce będę musiał potknąć się nad brzegiem grobu. Przypadek posłużył mi: jestem w obec téj, która jedna tylko na świecie może mię zrozumiéć. Dozwólcież mi mówić, mówić długo i wiele, i nieprzeszkadzajcie mi w mém opowiadaniu. Niech się dowié, jaki był mój los na ziemi, a potém pożegnam marzenie, które mię zabija, jeźli nie z radością, to przynajmniéj z rezygnacyą! — Kapitanie van Milgem, oto jest łaska, o którą cię proszę. Dozwól mi mówić; nieoburzaj się na to co powiem, a będzie to dla mnie nagroda droższa nad życie.“

Głos Jana był tak słodki i pokorny, że kapitan czuł się głęboko wzruszonym. Nadto chciał usłyszyć to wyznanie, w którém spodziewał się znaleźć potwierdzenie pewnych podejźrzeń. Odrzekł więc z dobrocią:

— „Mów, mój przyjacielu, i nieobawiaj się niczego; będę cię słuchał z największą uwagą.“

Po chwili milczenia zaczął młodzian opowiadać zwolna temi słowy:

— „Byłem młody, rad mego losu i życia. Idąc za popędem czułego serca ukochałem jak siostrę naszą służebnę. Moje przywiązanie do niéj wzrastało w miarę jéj cierpień i nieszczęścia; było to niewinne i czyste uczucie, które wkrótce opanowało mą duszę, a później zmieniło się w pałający ogień, który miał zniszczyć mię i pochłonąć! Kapitanie,

jeszcze teraz piecze mię dłoń w tém miejscu, na którém wówczas śród stepu złożyłeś poniżające mię złoto. Tyś chciał tą lichą nagrodą pocieszyć mię po stracie méj siostry, a zadałeś mi cios sztyletu. W ów czas-to, ach! wówczas dopiéro pojąłem cały ogrom mego nieszczęścia; rozpacz rozdarła mi serce, w którém wasz odjazd pozostawił katusze miłości bez nadziei; zapomniałem o wszystkiém na świecie, by żywić tylko jedno gorzkie wspomnienie; i przez długi czas płakałem u stóp dębu. I ja także oczekiwałem i wyglądałem kogoś ze szczytu piaszczystego wzgórza; i ja także usychałem i wiądłem. Nic niepomogło mię pocieszyć ani wzruszyć; niezdolny do pracy, obojętny na wszystko, żyłem w nieszczęsnym świecie mych marzeń, i widziałem moją matkę cierpiącą na łożu boleści nieznajdując w mém sercu miejsca nowemu smutkowi. Wszyscy znajomi litowali się nade mną, biednym szaleńcem. I z czasem ukochałem moją boleść, gdyż łzy moje płynęły dla téj, któréj stratę opłakiwałem. Płakać, to było moje życie; wzdychać, to moja mowa. Silne ciało moje wycieńczało trawione ogniem, który wrzał w mojém łonie; cień żyjący błądziłem jak widmo pośród tych drzew, które niegdyś słyszały także jéj skargi.

„Pewien sędziwy przyjaciel mego ojca chciał wyrwać mię koniecznie z tego miejsca, gdzie się urodziłem; miał nadzieję mię uleczyć. Opierałem się prośbom tych wszystkich, którzy mię kochali. Dlaczego? Czy dlatego, że niebo stepowe błękitniejsze? że powietrze napełnione balsamiczną wonią? że niezmierzona okiem równina przynęca serce i podnosi ducha? O! nie, nie! Lecz dlatego, że ona tam żyła, że były tam ścieżki, które wydeptała jéj stopa. Wiedziałem, które źdźbełko ugięło się pod nią; poznawałem na korze drzew to miejsce, gdzie ręka jéj choćby raz tylko spoczęła, i każdy kwiatek, który kiedy zrosiła swemi łzami. Drzewa, step, strumień, wszystko to rozmawiało ze mną o niéj. Pośród nich niebyłem nigdy samotny; ona była zawsze przy mnie, zapominając wraz ze mną o całym świecie. Wiatr przynosił mi jéj głos w szumie drzewa; konik polny powtarzał mi jéj lubą piosnkę *Rik — tik — tak*, a jednak doznawałem niewysłowionych cierpień, myśląc o tém, że nigdy już niepowróci. Straciłem moją siostrę na zawsze i pocieszałem się tylko nadzieją blizkiego zgonu.

„Napomnienia sędziwego plebana z Deschel i łzy choréj matki, naprowadziły mię wreszcie na lepsze myśli i dodały mi na chwilę dość siły, by się oprzeć moim wspomnieniom. Chciałem zażegnać ten obraz, którego nieustanny widok sprawił mi tyle męczarni, wyrwać się zpod okropnéj władzy, jaką miał nade mną; pojechałem do Malines, w nadziei, że w długich, mozolnych naukach, w obowiązkach stanu duchownego, znajdę obronę przeciw wspomnieniu, które ciężyło na mojéj duszy. Niestety! któżby zdołał wyrazić, ile cierpiałem śród samotności w seminaryum? Kto wypowie, ile ran odniosło me rozdarte serce i zbolała dusza w téj daremnéj walce. Cokol-

wiek robiłem, jakikolwiek powziąłem zamiar, gdziekolwiek szedłem, ona była zawsze przy mnie, zawsze obecna, oddalając samowładnie z méj duszy wszystkie inne myśli.... Ona! zawsze ona!...

„Nauki rozwinęły jeszcze więcéj siłę méj wyobraźni, która owładła potém i powiększyła jeszcze wszystkie, najmniejsze słabości mojéj duszy. Pogrążony w sobie unikałem moich kolegów; szukałem miejsc ustronnych, by nucić piosnkę *Rik — tik — tak* bez narażenia się nikomu na śmiech i żarty; zostałem przedmiotem powszechnéj nagany; nic niemogło mię uleczyć, ani surowość mych mistrzów, ani ich upomnienia życzliwe. Wreszcie nadszedł czas, kiedy miałem się zastanowić nad tém, czy pozostać przy stanie duchownym; lecz pocóż miałem się namyślać? Byłem niegodny zbliżyć się do ołtarza, niezdolny nawet się modlić; nigdy niewznosiłem mego głosu lub myśli mojéj do nieba, żeby jéj obraz niestanął między mną i Bogiem. Wyrzekłem się kapłaństwa równie z przekonania o méj niegodności jak i za poradą mych nauczycieli, którzy się litowali nade mną, i opuściłem seminaryum. Moja matka umarła; pozostała mi jeszcze mała cząstka z mojéj spuścizny. Wiodłem życie tułacze, i niezważając wcale na przyszłość przetrwoniłem wkrótce ostatki szczupłego mienia. Nędza zastała mię również obojętnym; sypiałem pod gołém niebem, pod zasłoną wozu lub pod murem; znosiłem głód bez szemrania i z uśmiechem szyderstwa przyjmowałem chleb żebraczy. Ale cóż znaczyło to życie cielesne, co znaczyły te dolegliwości fizyczne obok cierpień rozdzierających me serce? Nic w świecie niemogło mię wzruszyć, nic rozbudzić z méj nieczułości. Widzieć bez ustanku jéj obraz przed sobą, rozmawiać z nim, powtarzać z cicha jéj piosnkę, to było życie moje; wszystko inne było martwe dla mnie.“

Tu umilkł młodzian na chwilę wycieńczony znużeniem, i ciężko oddéchał.

Monika z głową opartą na stole, musiała gorzko płakać, gdyż słychać było westchnienia wzdymające jéj ściśnione piersi. Kapitan wzrok utkwił w posadzkę i siedział nieruchomy.

Młodzian mówił daléj:

„Próbowałem jeszcze, za radą przyjaciela, uleczyć się gwałtownym środkiem. Piłem bez ustanku i padałem bez przytomności na ziemię.... Nic to, nic niepomogło: jéj obraz stał ciągle przed mym obłąkanym wzrokiem. Pewnego dnia, niezapomnę go nigdy, przechodziłem zwolna przez plac de Meir, gdy nagle spostrzegłem ją przejeżdżającą spiesznie w powozie. Przelotny wzrok jéj ugodził mię jak strzała; serce rozdarło się w piersiach i padłem zemdlały na bruk. Wkrótce jednak zdołałem się opamiętać i poszedłem ukryć me wzruszenie śród samotności. Wieczorem chciałem się położyć pod wozem. Czoło moje pałało z gorączki; w mém obłąkaniu rzuciłem się pod wóz, głowa uderzyła o kamień i krew strumieniem popłynęła z rany.... Jakaś uboga staruszka wzięła mię do swéj izdebki i pielęgnowała jak matka; moje życie jest odtąd jéj poświęcone. Jéj czułość bez granic zna-

lazła drogę do mego serca, i zajęła w niém miejsce obok obrazu, które w niém panuje. Jestem teraz zdolny odzyskać moją wolność; muszę żyć, by kochać moją nową matkę i wynagrodzić jéj to, co uczyniła dla mnie. Oby dały nieba, by ostatnia nadzieja ta niebyła również płonna, jeźli tylko śmierć nieukróci sprawiedliwie niegodnéj méj słabości! Od jutra niebędę cię już znał, pani, ani ciebie kapitanie van Milgem. Zapomnij również o tym, który cierpiał tyle wspomnieniem twojéj córki; zrzekam się już tego wszystkiego, coś mi winien. Przebacz biednemu szaleńcowi te zuchwałe wyrazy, które odważył się powiedziéć, a ty, pani, błagam cię, niezapominaj o mnie w twoich modłach i błagaj nieba, by mi dodało sił do wytrzymania téj ostatniéj walki przeciw tobie...“

Wymawiając słowa te, powstał Jan i zwrócił się ku drzwiom; ale Monika zerwała się nagle, otarła łzy z oczu i dając znak ręką zawołała:

— „Zostań! zostań!“

Potém rzucając się na kolana przed ojcem, wzniosła ku niemu ręce i rzekła błagalnym głosem:

— „Mój ojcze, przebacz mi! Zatrzymaj go, albo umrę. Jego obraz przyświecał także w moich marzeniach; to mój brat, mój obrońca, mój kochanek! O Boże, on odchodzi! On sam może mię ocalić. Daj mi go! Daj mi go! O ty płaczesz także, i ty czujesz to wszystko, com ucierpiała, nieprawdaż? O! ja chcę należéć tylko do niego, do niego samego, albo umrę! Mój ojcze, nie potępiaj mię! Będę żyła, wyzdrowieję, będę ci błogosławić! Na imię matki mojéj zaklinam cię, daj mi go, ojcze!“

Kapitan podniósł swoją córkę wołając głosem drżącym z wzruszenia:

— „To treść zagadki więc! Co za serce! Dobrze, Moniko, bądź ocaloną, moje dziécię! Niech będzie twoim mężem!“

Krzyk rozdzierający wyrwał się z piersi Jana; chciał się oprzéć o krzesło, ale opuściły go siły i padł bezwładnie w chwili, gdy Monika biegła do niego z otwartemi rękoma.

X.

W roku 1831, wkrótce po rewolucyi. jakiś żołnierz z karabinem na ramieniu i torbą na plecach szedł zwolna stepem między Moll i Desschel. Wkrótce przybył do wielkiego futoru, wyglądającego jak pałac wiejski, i wręczył swój bilet kwaterunku jakiemuś mężczyznie, który stał w progu. Mężczyzna ten przywołał służącę, i oboje przyjmując żołnierza z serdeczną uprzejmością, zaczęli zdejmować z niego tornistrę i inny rynsztunek. Młody żołnierz zdziwił się, że go tak serdecznie przyjęto, i uderzając wieśniaka po ramieniu rzekł wesołym głosem:

— „Czy służyłeś w wojsku, dzierzawco?“

— „Nie“ — odrzekł wieśniak — „ale będziesz miał tu z kim rozmawiać o wojnie i bitwach. Wejdź, mój przyjacielu; szynka i piwo są już na stole.“

Zaraz na wstępie spostrzegł żołnierz w rogu komnaty jakiegoś sędziwego męża, którego poważna fiziognomia i siwe

włosy obudziły w nim na piérwsze spojrzenie uczucie poszanowania. Długa blizna na jego twarzy i wstęga legii honorowéj przy sukni wskazywała mu tego, o którym mówił wieśniak: „że będzie miał z kim mówić o wojnie i bitwach.“

Sędziwy wojownik powitał żołnierza z życzliwym uśmiechem i wskazał mu stół, jak gdyby chciał mówić: „Jedz i pij naprzód a potém będziemy mówić.“

Żołnierz usłuchał dobréj rady i zabrawszy się szczerze do zastawionego jadła, zaczął ciekawie przypatrywać się osobom, które znajdywały się w około. W głębi komnaty siedziała jakaś kobiéta przy kądzieli; obok niéj stał młody mężczyzna, którego spotkał na progu. Rysy twarzy obojga zwiastowały zdrowie i największą spokojność umysłu, i zdawało się, że promień miłości błyszczał w ich oczach, każdą razą gdy się spotkały ich spojźrzenia. Nieco daléj za niemi siedziała jakaś staruszka całkiem zgarbiona, któréj skośniałe palce nawiązywały jeszcze koronkę na krośnie.

Zajęty tym widokiem żołnierz, patrzał już od niejakiegoś czasu w tę stronę izby, gdy usłyszał za sobą jakąś wesołą piosnkę, i uderzony szczególniejszą jéj nutą obrócił głowę ku kominkowi. Na obu kolanach starca z długą blizną siedziało dwoje dziatek rumianéj cery, chłopczyk i dziewczynka, które huśtał dziadunio na nutę téj piosnki.

Młody żołnierz zapoznał się wkrótce z wszystkimi mieszkańcami futoru. I tak wesoło płynęły mu dnie pośród tych dobrych ludzi, których zdawał się łączyć jeden tylko węzeł miłości i wdzięczności, że po dwumiesięcznym pobycie niemógł wstrzymać się od płaczu, gdy był zmuszony pożegnać tę spokojną i szczęśliwą rodzinę, która go przyjęła i kochała jak syna. W chwili gdy założywszy tornistrę na plecy miał już odchodzić, wszyscy wyszli za nim aż do drzwi i żegnali go serdecznem uściśnieniem ręki; on zaś ze łzami w oczach udał się drogą ku stepowi, i obróciwszy się jeszcze raz z niejakiéj odległości zawołał wzruszonym głosem:

„Bądź zdrów, kapitanie van Milgem! bądź zdrów, Janie Daelmans! bądź zdrowa dzierzawczyni! bądź zdrowa, matko Teerlink! bądźcie zdrowi!“

Przybywszy do stepu rzekł żołnierz sam do siebie: Gdybym był powieściarzem lub poetą, napisałbym o tém piękną historyę.... Kto wié? może potrafię to kiedy.... Ba, ba, czego mi się zachciewa.

I przyspieszył kroku przyśpiewując sobie piosnkę, którą zapewne nauczył się w futorze:

Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!

Daléj do młota,
Kujmy co tchu!

Niech stal czerwona
Iskrami miota,

Kto ją pokona
Ten godzien snu!

Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!

Rik — tik — tak,
Rik — tik — tu!

Choć rękę zboli —
Kujmy co tchu!

Niech kruszec twardy,
Gnie się do woli

Kto z złota hardy,
Niegodzien snu!

Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!

Osądź z tego, kochany czytelniku, czy młody żołnierz dotrzymał swego przyrzeczenia.

Dla czegoś smutny?

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

Dla czegoś smutny, i w naszym gronie
Jakby niechętny towarzysz?
Gdy my weseli, ty gdzieś na stronie;
Gdy my gawędzim — ty marzysz?

A oczy twoje w słup postawione,
Znać za myślami gdzieś biegą;
I ani spojźrzysz w tę gdzie my stronę:
Dla czegoś smutny, dla czego?

— Dla czegom smutny? Ot smutek spadnie
Nim myśli o nim ostrzegą,
Bo któż natury tajnię odgadnie
Kto spyta serca — dla czego?

Potok z gór lecąc mruczy i pieni,
Chwile jak wody z gór biegą;
Echo głos niesie, maj się zieleni, .
Zapytaj-że ich — dla czego?

Gdy czarę serca przepełni czucie,
Choć czuć, to rozkosz prawdziwa;
Jest na dnie duszy jakieś uczucie,
Które się smutkiem odzywa.

A głucho w sercu, i taka cisza,
Że głos w niéj ginie wesela;
Rad jesteś w smutku, jak z towarzysza
Co twą samotność podziela.

Patrz długo w niebo i w gwiazd otchłanie:
Naprzód cię podziw owładnie,
Potém westchnieniem przerwiesz dumanie,
I smutek zkądeś się wkradnie.

Patrzysz w głąb ziemi, i w oczy świata,
Nie długi raj twych uniesień,
Bo chłód cię przejmie, spadnie liść z kwiatu,
I zesmutniejesz jak jesień.

Bo dusza w ciele człeka tułaczem:
Im głębiéj, wyżéj się wzbije,
Więcéj ma tęsknić po czém i za czém,
I gęstszą mgłą się pokryje.

Gdy więc nas jedność myśli nie zbliża,
Nie badaj z któréj ból strony,
A uczcij smutek — bo to coś z krzyża,
To coś z męczeńskiéj korony.

Henryk Cieszkowski.

Tablice w języku Demotów.

Coraz nowe odkrycia w otwartym dziś dla uczonych Egipcie, rozsuwają zasłonę wieków i wzbogacają spragnioną wiedzę starożytności. Misyonarz angielski p. Stobart nabył u jakiegoś Araba w puszczy cztéry zapisane tabliczki, a Dr. Brugsch, autor gramatyki języka Demotów w Berlinie, rozpoznał, że były ryte właśnie w tym języku co Egipcyanom spółczesny ich świętości i tajemnice ukrywa. Zawierają tysiące dat astronomicznych, odnoszące się do toku pięciu planet: Saturna, Jowisza, Marsa, Wenusa — u Egipcyan Bóg Zarania zwany — i do Merkurego, jak i kiedy wstępują w znaki Zodyaku. Sam dziedziniec zwierzęcy jak go Brugsch czyta jest ciekawy. Mety w nim nazywał Egipcyanin: Chrząszcz, Nóż, Panna, Góra, Wąż, Strzała, Życie, Woda, Ryba, Skóra, Byk i Szypułki. Że w tém tłumaczeniu Dr. Brugsch nie uwodzi się domysłem, ręczy sprawdzenie dat astronomicznych, które p. Ellis asystent przy obserwatoryum astronomiczném, wziąwszy z polecenia p. Biota w Paryżu pod rachubę, znalazł je nieomylne i że się odnoszą do lat panowania, między 9 i 19 Trajana, i do piérwszych 17 lat Cesarza Hadryana.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*